

Friedrich Hölderlin: Wybór wierszy w przekładzie Antoniego Libery

Zachęcamy do lektury wyboru wierszy Friedricha Hölderlina w przekładzie Antoniego Libery.

Człowiek

Zaledwie, Ziemi, twoje młode góry
Jęły wyłaniać się z wód i na szarej
Pustyni morza wyrosły oazy
Twych pierwszych wysp zielonych i pachnących,

I boskie Słońce spojrzało przyjaźnie
Na nowych osadników: na rośliny,
Radosne dzieci swej wiecznej młodości,
Jak i na ciebie, któraś je zrodziła –

A już na wyspie najpiękniejszej: tej,
Gdzie gaj muskają łagodne powiewy,
Któregoś ranka, zrodzony o świcie,
Po rzeźkiej nocy, u stóp winorośli,

Zjawia się oto twój cudowny syn. –
Budzi się, w górę spogląda, poznaje
Swojego ojca Heliosa, a potem,
Zasmakowawszy słodczy winogron,

Ssie, niby pierwsze mleko, święte wino.
Rośnie. Zwierzęta się go boją. Człowiek
Jest przecież od nich inny. Do żadnego
Ze swych rodziców niepodobny, łączy

Odważnie w sobie jasną duszę ojca
Z twoją pogodą, Ziemi, i twym smutkiem;
I już się pragnie równać z matką bogów,
Z samą Naturą wszechogarniającą!

To właśnie ta zuchwałość go odrywa
Od twojej błogiej piersi. Na nic dary,
Na nic oddanie twoje, czuła więź,
Mało mu tego wszystkiego, chce więcej!

I coś go pcha, że z brzegu pól pachnących
Schodzi w toń wód, gdzie kwiaty już nie rosną,
I nie ogląda się na gaj, gdzie lśni
Złocisty owoc niczym gwiazdy nocą,

Lecz przeszukuje jaskinie i sztolnie,
Drażone w górach, odcięty od światła,
Niewierny ojcu, bogu Słońca, który
Gardzi niewolą i drwi sobie z troski.

Bo chociaż człowiek dumnie pierś wypina,
Już nie jest wolny tak, jak leśne ptactwo,
A patrząc w przyszłość, widzi mrok i śmierć,
I się jej boi, i nie może nie bać.

I w owej pysze podszytej lękami
Podnosi oręż na wszystko, co żyje,
I się wyniszcza w nieustannych waśniach;
I kruchy kwiat pokoju już nie kwitnie.

Czyż nie jest najwspanialej obdarzony,
Najwyżej wyniesiony wśród stworzenia?
Lecz za to Los, co wyrównuje wszystko,
Też i najsilniej godzi w jego pierś.

1798

Wspomnienie

Północnowschodni wiatr wieje,
Najmilszy mi, bo zwiastuje
Gorejącego ducha
I dobrą podróż żeglarzom.
Dziś jednak pędź pozdrowić
Piękną Garonnę i sady
W Bordeaux na skarpie wysokiej,
Skąd ścieżka wiję się w dół
I strumień spada do rzeki,
Ale i gdzie, górując,
Widnieje szlachetna para:
Dąb i srebrzysta topola.

Wciąż żywo mam to w pamięci:
Olbrzymie korony wiązów
Pochylone nad młynem,
A na podwórzu figowiec;
Smagłe kobiety idące
Po jedwabistej ziemi
W święta, porą marcową,
Gdy dzień zrównuje się z nocą,
A nad stromymi ścieżkami,
Kołysane przez wiatr,
Wisi senne powietrze
Brzemienne od złotych snów.

Niech by mi już kto podał
Aromatyczny puchar
Pełen ciemnego światła

I niech bym już odpoczął;
Byłoby słodko spać w cieniu.
Nie, myślenie o śmierci
To niedobre, bezduszne.
Trzeba rozmawiać, mówić
O tym, co czuje serce,
I słuchać, wiele słuchać
O dniach miłości i czynach,
Których dokonywano.

Ale gdzie przyjaciele?
Bellarmin wraz z towarzyszem?
Niejednego strach bierze
Przed powrotem do źródła;
Bogactwo przecież jest w morzu.
To oni, jak malarze, chwytają urodę ziemi;
Gotowi na wojnę skrzydlatą
I samotnicze życie
Przez lata pod nagim masztem,
Gdzie nocy nie ożywiają
Ani rozbłyski świateł świętującego miasta,
Ani dźwięki muzyki, ani tańce ludowe.

Mężowie ci poszli dzisiaj
Do Indów – tam, nad winnice,
Na szczyt, gdzie szaleje wiatr
I skąd się stacza Dordona
Do przepysznej Garonny,
Aby szeroką deltą
Wpłynąć z nią razem do morza.

Ale morze odbiera,
Chociaż i daje pamięć;
Miłość sprawia, że ma się
Oczy szeroko otwarte.
Wszelako co się ostaje, ustanawiają poeci.

Wiosna 1803

Fantazja wieczorna

Przed chatą w cieniu odpoczywa oracz.
Z komina smużka dymu się unosi.
W pobliskiej wiosce bije dzwon wieczorny,
Gościnnie dając sygnał wędrowcowi.

Żeglarze pewnie też już powracają
Do swych przystani, a w miastach, daleko,
Zamiera gwar bazaru i w altanach
Radośnie zasiadają do wieczerzy.

A dokąd ja mam pójść? Życie śmiertelnych
To praca dla zarobku; i jest szczęściem
Na przemian trudzić się i odpoczywać.
Lecz we mnie cierń nie zaśnie nigdy. Czemu?

O zmierzchu budzi się na niebie wiosna
I kwitną róże, i lśni złoty świat.
Weźcie mnie z sobą, purpurowe chmury!
Może tam w górze, w tej jasnej przestrzeni

Mój ból i miłość wreszcie się rozwieją! –
Lecz oto pierzcha czar, jakby spłoszony
Tą nedorzeczną prośbą, i jest ciemno,
I znów pod niebem jestem sam, jak byłem.

Przyjdź zatem, błogi śnie! Za wiele pragnę.
A ty, młodości – cóż, zgorzejesz w końcu!
Niepokój i tęsknoty wyparują.
Ład i pogoda przyjdą ze starością.

1800

Hyperiona pieśń Losu

Wy tam, na wysokości,
Po jedwabistym gruncie i w świetle się przechadzacie,
Błogosławione istoty!

A boskie, świetliste powiewy
Zaledwie was muskają,
Jak palce muzykantki muskają święte struny.

Nieśmiertelni istnieją
Jak śpiące niemowlęta,
Nie podlegają Losowi.
Ich duch
W niewinnym pąku
Przez całą wieczność kwitnie,
A oczom błogosławionym
Jawi się wiecznie jasność
Łagodna i niezmacona.

Nam zaś nie dane jest
Zagrzać gdziekolwiek miejsca.
My, ludzie, cierpiąc, znikamy,
Spadamy gdzieś na oślep –
Z godziny na godzinę,
Jak woda
Z progów skalnych,
Przez wszystkie nasze lata –
W nieodgadniony dół.

1799

Przełożył Antoni Libera

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

M.R.